Kryśka

W domu Kryśki lipcowe wieczory pachniały drożdżówką z rabarbarem, jaśminową herbatą i wdzierającym się przez okno bzem. Punktualnie o godzinie dziewiętnastej wszyscy członkowie światłego rodu porzucali swoje zajęcia i w radosnych nastrojach spotykali się przy ozdobionym artystycznie stole, który dzięki zaradności pani domu stawał się na ten święty czas zacnym ołtarzem rodzinności. Wiedzieli, że nadeszła pora karmienia: ciała i ducha rodzinnej więzi. Jeśli komuś leżało na wątrobie lub w sercu coś ponadprogramowego, natychmiast zrzucał to z siebie niczym palącą koszulę Dejaniry. W domu Kryśki obowiązywało wiele reguł, ale najważniejsza głosiła, że do zbiorowej konsumpcji należy przystępować: po pierwsze – uśmiechniętym, po drugie – życzliwie usposobionym, po trzecie – głodnym. Nieoficjalnie obowiązywał jeszcze punkt czwarty – wyposażonym w spektakularne życiowe sukcesy gwarantujące przetrwanie świetności rodu. Zakazane było publiczne napawanie się nimi wśród pozostałych członków rodziny, ale należało je bezwzględnie mieć. Wyssali tę etykietę z matczynej piersi, gdyż na jej kręgosłupie wzniesione było wychowywanie poszczególnych Bogusławskich. Ostatecznie uznali, że dzięki tak pojętej przyzwoitości i cnocie stanowią dumę prowincjonalnego miasta oraz wzór inteligenckiego kolektywu. Lipcowe wieczory miały przypominać im o swojej wyjątkowości wśród reszty przedstawicieli lokalnej społeczności.

Tego dnia Kryśka wyjątkowo mocno machała pod stołem nogami i manewrowała zgrabnym widelczykiem po tafli talerza. Jednak nikt nie zwrócił na jej nerwowe ruchy uwagi. Starsi zajęci byli pochłanianiem ciasta, jakby miało ono za chwilę rozpłynąć się w pokojowym zaduchu, nie doczekawszy konsumpcji. Młodsi skupili się na utrzymywaniu nienagannej postawy, która dopiero ugruntowywała się w ich naturze, natomiast niesforni przedstawiciele pokolenia raczkującego próbowali stłumić w sobie ludyczny instynkt nawołujący ich do wejścia pod sięgający podłogi obrus. Niezależnie od przynależności grupowej, odporni na działanie ducha zbiorowości, uczestnicy rytualnej rodzinnej sielanki skupili się przede wszystkim, a nawet wyłącznie, na sobie. Siedzieli przy stole razem, ale dzierżawili kolejne centymetry jego blatu jakby z osobna.

Dwaj znudzeni introspekcją i konsumpcją panowie postanowili po męsku wypełnić salon prawdziwie rodzinną atmosferą.

- Brexit to dowód na to, że na wyspach również mają swoje PiS – ogłosił dziadek Stanisław. - I całe szczęście, bo inaczej nie byłoby komu bronić narodów. Jak w ogóle można było dopuścić do tego, aby wielowiekowo tworzone państwowości zlały się w jeden amorficzny twór? Na cóż więc były dziejowe bitwy, powstania i heroiczne zrywy? Niech żyją Brytyjczycy – drugi, po Polakach, naród wybrany!

- Dziadku, ty naprawdę myślisz, że oni są pod tym względem wyjątkowi? - przerwał kosmopolita Witold, któremu rok korporacyjnego wygnania na wyspy wystarczył do wypełnienia się silnym pierwiastkiem nienawiści wobec podopiecznych królewskiej rodziny. - Przecież oni wystąpili z Unii bardziej z głupoty niż świadomie. Prekariat chciał pokazać fucka bogatym…

- Synu! - próbowała przerwać mu dbająca o domowy mir matka.

- Kiedy tak właśnie brzmi prawda, mamo. Ona jest jedyną królową.

- Po powrocie stamtąd stałeś się niezdrowo uprzedzony…

- Raczej wyleczony! Z kompleksów wobec nich oraz czołobitności. W swojej prekursorczej genialności najpierw pomyśleli: „Jakoś to będzie", a potem: „Postraszymy ich, przecież nie wypuszczą nas ze swych struktur". Widać – prorocze myślenie bywa zawodne. Unia się na nich wypięła. Ma więcej godności niż ten twój „naród wybrany".

- Dlaczego bronisz tego międzynarodowego po-twora? - pieklił się coraz bardziej dziadek.

- Bo jestem za pokojową współpracą międzynarodową, pozbawioną zbędnych zakazów, ceł i licytowania się w swojej wielkości. Przyszłość widzę w rozwoju wolnego handlu, globalizacji oraz odważnej wymianie myśli między państwami. Chcę doczekać postępu, mam dość tkwienia w tym samym martwym punkcie.

- Sugerujesz, że my to robimy?

- Ha, w końcu określiłeś swoją przynależność wprost! Nie tylko stoicie w miejscu, ale i cofacie się. Waszym skomplikowanym systemem ceł, dopłat eksportowych, zakazów, kontyngentów i innych protekcjonalizmów hamujecie Europie i nam rozwinięcie skrzydeł.

- Nonsens! Chcemy lepszego życia, tak jak wy, ale opartego na bezpiecznym rozkładzie sił. Nie wszyscy mogą wszystko. Nawet w piekle są zhierarchizowane kręgi.

- Wy chcecie tylko władzy. I dyktatury, żeby móc się nią w wąskim gronie napawać. Od was gorszy był tylko Stalin. I Hitler. Chociaż ten ostatni zatroszczył się przynajmniej o krajową gospodarkę.

- Bluźnisz, bo nie doświadczyłeś… W razie napaści jakiegokolwiek imperatora, nie umielibyście nawet obronić granic. Bo czymże jest, według was, wojsko, jeśli nie wiecznie niedofinansowaną armią z powszechnego poboru?

- Jest masą, a nie garstką rzekomo zawodowych żołnierzy, którzy tak naprawdę rekrutują się spośród rodzin politycznych karierowiczów. Masą strzegącą pokoju, a nie głoszącą apoteozą militaryzmu.

- Nie o kariery walczymy.

- A o co?

- O chrześcijańskie wartości. I polską wolność – naszą i waszą.

- A więc jesteście gorliwymi chrześcijanami, tak? Winszuję i jednocześnie pytam, jakim przykazaniem kierujecie się, propagując karę śmierci? Zdaje mi się, że tylko Bóg daje i odbiera… Jesteście faszystami walczącymi z demokracją, wolnością i podmiotowością człowieka. Zadrwiliście nawet ze swojego Boga, próbując upolitycznić jego kompetencje.

- Pilnujemy stworzonej przez niego hierarchii, której zagrażają rekrutujący się spośród was homoseksualiści, dewianci i prowokatorzy. Wasz nihilizm ma podłoże szatańskie! Jest niemoralny.

- Za to wy jesteście prawi i sprawiedliwi.

- Owszem, najważniejsza jest dla nas równość wszystkich wobec prawa.

- Nawet w tej materii uczyniliście system ważniejszym od człowieka.

- A cóż może być ponad prawem?

- Ekonomia! Podczas gdy wasze prawo wyznacza coraz to nowsze bariery, równość ekonomiczna pozwala jednostkom poszerzać granice deterministycznych uwikłań. Nie skażecie nas na „wolę nieba, z którą zawsze zgadzać się trzeba". Nie jesteście święci ani lepsi od nas.

- I tu się z tobą zgodzę. Pederaści są po obydwu stronach, choć geje tylko po stronie lewej.

- Nienawidzę pisiorów! Jak mi Bóg miły!

- To akurat sprzeczność sama w sobie. Od razu wychodzi z ciebie anarchista i pieniacz.

- A dziadek myśli, że skoro zawłaszczyliście w swoich hasłach Boga, to macie u niego szczególne względy?

- Bóg jest po naszej stronie, bo wy go odrzuciliście. Dlaczego nie chcesz dać rządzącej partii szansy? Wystarczy cierpliwie czekać.

- Czekać? Na co? Aż zostawi nas w tej stajni Augiasza na kolejne dziesiątki lat? Nie dam jej szansy, bo już teraz jestem wszystkim tym, czym powinna sama być. Ale nie jest.

- Czyli kim?

- Realistą, racjonalistą, analitykiem, ekonomistą, finansistą i księgowym. Tamci są tylko politykami. W dodatku oderwanymi od rzeczywistości.

- A skąd ty możesz wiedzieć, jaka będzie za kilka lat rzeczywistość?

- Z wyliczenia i przewidywania. Jeśli nie odsuniemy tych obłąkanych przywódców od władzy, czeka nas katastrofa, i to już w 2020 roku. Dzięki ciężkiej pracy niezwykle zaangażowanych ministrów najważniejszych resortów najpierw zawali się budżet wraz z systemem emerytalnym, a wkrótce potem nastąpi klęska społeczna. Powróci system klasowy z ogromną przepaścią pośrodku, wiejskie dzieci znów wołać będą o pracę u podstaw, a nauczyciele walczyć o strzępy etatu, patrząc w roześmiane oczy katechetów. Ale najgorsze przyjdzie na koniec.

- Tylko Bóg wie, jaki będzie koniec.

- Nie trzeba być Alfą i Omegą, by zrozumieć, że konsekwencją wy-czynów politycznych dzisiejszej władzy będzie groźne w skutkach przesilenie polityczne. Polska skręci radykalnie na prawo i znajdzie się sama wobec Rosji. Zresztą Europa już postawiła krzyżyk na Polakach. Pozbawiacie nas obronnej tarczy. Drażnicie tygrysy Europy. Izolujecie polskość, czyniąc ją marginesem kontynentu. Wyspiański wyłania się z grobu z szyderczym: „Miałeś, chamie, złoty róg" na ustach.

- Bluźnisz! Pozwól klasykom spać w wiecznym spokoju. Ostrzegali nas właśnie przed takimi jak ty.

Pani Anastazja Bogusławska zrozumiała, że utrzymanie domowego miru w ryzach wymyka się jej spod kontroli. Heroicznym wysiłkiem starała się zachować pozór stoickiej postawy i niezmiennie prosto kroić drożdżówkę. Obdarowywała wszystkich łagodnym i rozjemczym uśmiechem, lecz nikt w tej chwili nie zwracał na nią uwagi. Jak Europa na Polskę. Wzburzony dziadek Stanisław łapczywie łowił z powietrza tlen, którym reanimował wypluwające go przed chwilą płuca. Wstyd mu było przed Bogiem za słowa wnuczka. Jak Europie za Wielką Brytanię. Z kolei Witold uśmiechał się rubasznie pod nosem, ostentacyjnie dolewając sobie wina zwiastującego chęć kontynuowania dyskusji w zażartym tonie. Jak Rosja upajająca się widokiem oszczekujących się państw unijnych.

Kryśka nie zaprzestała machania nogami, a w nieskonsumowanym cieście wyżłobiła już bezdenne kratery zamyślenia. Do jej uszu dolatywały na chybił-trafił pojedyncze słowa, z których niewiele teraz chciała rozumieć. Gorąca herbata zarumieniła jej policzki, co pani Anastazja zauważyła dopiero w warunkach zawisłej nad głowami ciszy.

- Czy ty aby na pewno dobrze się czujesz, dziecko? - zapytała, ciesząc się z okazji do zmiany tematu.

- Na pewno – wiarygodnie skłamała Kryśka.

- Jesteś rozpalona – brnęła dalej matka.

- Odrobinę. Czy to grzech? - ucięła dyskusję retorycznym pytaniem córka.

W zaciszu ducha marzyła o tym, by dali jej teraz święty, a przynajmniej świecki, spokój. I szczęście się do niej uśmiechnęło, bo w konfrontacji z polityką diagnozowanie stanu jej zdrowia nie miało najmniejszych szans. Poza tym, aktualnie gorączkowali się wszyscy.

- Tak tak, dziadku, mieliśmy w dłoniach złoty róg – otworzył drugą część dyskusji Witold. - Ale przez tych twoich kozackich wernyhorów straciliśmy szansę na wewnętrzną zgodę, codzienną normalność i przyzwoitą pozycję Polski w Europie. Będzie nam niezwykle trudno odbudować stracone zaufanie oraz godny wizerunek. Staliśmy się karłem na glinianych nogach, z których dwie to praworządność Kaczyńskiego i Ziobry, trzecia to obronność Macierewicza, a czwarta – powaga Waszczykowskiego. I temu cielcowi chcesz składać ofiarę z siebie?

- Historia zawsze dostrzega bohaterów z opóźnieniem! - oburzył się dziadek. - Najpierw dyskredytuje ich osiągnięcia, by potem bić się w pierś nad grobami ludzi o wielkich sercach. Ci, których nazwiska z nieukrywaną pogardą wymieniłeś, to prawdziwi patrioci gotowi do najsroższych poświęceń.

- Mówisz o nich jak o męczennikach za życia.

- Bo są nimi! Gdyby tupolewa nie wysadzili w powietrze Rosjanie…

- Uwaga! Wazon! - krzyknęła nagle ciotka Wanda, poderwawszy się z krzesła niczym najszybszy sprinter świata. Cudownym odruchem zachowawczego instynktu ocaliła piękne naczynie przed upadkiem. Odpowiedzialność za rodową relikwię okazała się generatorem olimpijskiego refleksu oraz dowodem na to, że pomimo dręczących wątłe ciało ciotki rzekomych chorób, jest ono nadal nieprzeciętnie wygimnastykowane.

- Niewiele zabrakło, aby i on rozsypał się na kawałki – szyderczo zaśmiał się autentycznie rozbawiony Witold. - Chyba podupadam na wzroku, bo nie dostrzegam tu brzozy. No chyba że wyrasta ona i znika jak kwiat paproci - „nagle i po diable".

W ferworze walki na słowa zapomniano o konieczności ochrony cennych rodzinnych bibelotów, które przetrwały nie tylko dwie wojny światowe, ale i co najmniej kilka zderzeń ideologicznych armagedonów. Twardy łokieć pobudzonego ruchowo dziadka zagroził ich nieśmiertelności.

- Widzisz, sam Bóg zesłał Ci obuch w głowę! Ma dość tych bredni - drwił dalej wnuczek. - Twoja teoria upadła jak ów nieszczęsny wazon. Sięgnęła bruku, a raczej dna.

Dziadek Stanisław złowieszczo syknął i zaczął składać usta do gwałtownego ataku. Gdy mimowolnie dłoń zacisnęła się mu w pięść, na front wkroczyła dzielna pani Anastazja.

- Mania i Karola, idźcie do ogrodu nazrywać świeżego bzu – zażądała. - Nie ma o tej porze roku ładniejszego zapachu. Jak to dobrze, że u nas bez zakwita pełnią swojego jestestwa. W ogóle natura nam ostatnio sprzyja. Popatrzcie na grządki z…

- Natura naturą, ale prawda jest taka, że co człowiek zasieje, to potem zbierze jako owoc – dokończył w swoim stylu nieustępliwy Witold. - A te dziadkowe bohatery zasiały w nas głównie wrogość, butę i jakąś pieprzoną megalomanię. Cała Europa omija nas szerokim łukiem, choć jesteśmy jej cholernym pępkiem.

- Witek, na miłość Boską! - zagrzmiała matka.

- Przecież sama wysłałaś dzieci do ogrodu. Dorośli muszą rozmawiać jak dorośli.

- Rozmawiać, a nie kląć na czym świat stoi.

- Świat nie stoi, a upada, mamko. Poza tym, rozmawiać znaczy nazywać rzeczy po imieniu.

Jaśminowa herbata od kilku minut stała nietknięta, za to wytrawne wino znikało z prędkością wyrzucanych z karabinu pocisków. Jej aromat tracił kojące właściwości i zaczął drażnić biesiadników swoją intensywnością. Czuwająca nad prawidłowym przebiegiem ceremoniału pani Anastazja natychmiast oddelegowała imbryk do kuchni, zaś w jego miejsce postawiła talerz z soczystymi jabłkami. Najwyraźniej były to owe słynne jabłka niezgody, bo po ich lekkim zaledwie nadgryzieniu panowie ponownie wytoczyli działa. Rozmowa zeszła na temat wartości:

- Wy, młodzi, dyskredytujecie wszystko to, co jest ważne dla nas, starych - skarżył się dziadek. - W ten sposób próbujecie pozbawiać nas godności. Uczyliśmy was szacunku dla dorobku minionych pokoleń, a w zamian dostaliśmy wzgardę. To nieludzkie.

- Ludzką rzeczą jest nie przyjmować wszystkiego, co nam próbujecie sprzedać w krwawym majestacie, na wiarę – odpierał zarzuty Witold. - Wasz dorobek stanowi dla nas jedynie punkt wyjścia. Musimy oddzielić w nim ziarno od plew. Nie przekazaliście nam idealnego świata. Ani wolnej Polski.

- Jak śmiesz?! Tyle straconych żyć… Nie macie prawa oceniać skali naszego poświęcenia! Jesteście na to za młodzi, brakuje wam doświadczenia i szerszej perspektywy.

- A czy ja podważam wielkość waszej martyrologii? Ja tylko próbuję odnaleźć we współczesnym świecie jej sens. Chyba nie było warto…

- Jesteście bez serca!

- Mamy rozum, to wystarczy.

- Sugerujesz, że my byliśmy go pozbawieni?

- Traciliście go z każdą poniesioną klęską i absurdalną próbą jej wytłumaczenia. Wam zawsze na drodze po laury stawała jakaś brzoza.

- To prawda, nasz Stach jest pod tym względem wyjątkowo samosiejny – zachichotała ciotka Lukrecja, nie przewidziawszy, że za sprawą jednego niewinnego żartu automatycznie stanie się wrogiem rozsierdzonego nestora rodu.

Stach spojrzał na nią demonicznym i karcącym wzrokiem, po czym wyrwał z jej dłoni butelkę wina, której zawartością zapragnęła właśnie podlać swoją wyzwoloną myśl. Wszyscy w rodzinie wiedzieli, że ciotka Lukrecja, gdy tylko posiedzi chwilę przy odkorkowanej butelce, staje się wolnomyślicielką. Ujrzawszy eschatologiczną grozę na twarzy wzburzonego Stanisława, w mig otrzeźwiała i potulnie wbiła się w bujany fotel, a głowę schowała za mocno przywiędłe gałązki bzu. Był to mistrzowski, choć przypadkowy, kamuflaż.

- My po prostu mieliśmy trudniej. Dojrzewaliśmy w podłych czasach mordu i głodu – tłumaczył zawzięcie dziadek. - Nasze pojedyncze życia nie liczyły się, o ich wartości decydowała zbiorowa walka.

- Nadal żyjemy pośród mordu i głodu, nie wypleniliście ich swoją solidarnością. Ale naprawiliśmy wasz błąd: dla nas pojedyncze życie ma wysoką rangę, jest wartością samą w sobie. Nie składamy go w ofierze.

- Bo staliście się podłymi i nieczułymi na krzywdę innych egoistami. Koniec waszego nosa to granica pola bitwy. Wykreśliliście słowo „naród" ze swojego słownika.

- Nie, po prostu zrozumieliśmy, że naród tworzą szczęśliwi i jednostkowo wolni obywatele. Z naszych marzeń o lepszym życiu wyrasta zgodny duch zbiorowości. Każdy kroi go według własnej miary. Ktoś musi być kieszenią na piersi, ktoś inny szwem pod pachą, a jednak wszyscy tworzymy jeden garnitur.

- Daruj sobie te obrazoburcze porównania. Szanuj przynajmniej mój zawód, który jest czymś więcej niż zwykłe rzemieślnictwo. Uratował mi życie w czasie wojny.

- Bo szyłeś emblematy dla Niemców! Haftowałeś Żydom zwiastujące im zagładę gwiazdy.

Pani Anastazja, uniesiona erupcją gejzeru w postaci wyplutej z ust herbaty, potrąciła cukiernicę, z której gęsto wysypała się na stół biała śmierć. Wymamrotawszy pod nosem jakieś zaklęcia, natychmiast zaczęła zgarniać ją dłonią na podłogę, co nieoczekiwanie sprowadziło pod nogi Kryśki dwa wygłodniałe niemieckie owczarki. Tłukły ją boleśnie podnieconymi ogonami po piszczelach i łapczywie lizały odsłonięte kostki oblepione kryształkami cukru. Kryśka wierzgała niczym rozjuszone zwierzę. Nie miała szans w starciu z kompulsywnie pochłaniającą z niej słodycz parą wymuskanych sierściuchów. Gdyby mogła, chwyciłaby natrętne psiska za szyje i wyrzuciłaby je przez okno, wprost w głębokie czeluście krzaków bzu.

- Piękna metafora nam się popełniła! - krzyknął Witold. - Niemieckie psy u stóp dumnej Polki o żydowskich korzeniach. Jedzą jej z nóg.

- Witek! Zmiłuj się! - jeszcze głośniej odkrzyknęła pani Anastazja.

- A Niemcy litowali się nad Żydami? W XVII wieku barbarzyńcy walczyli z wrogiem „ogniem i mieczem", w XX wieku – gazem i prochem. Testowano na Żydach najnowsze militarne trendy. Cały świat o tym wiedział, ale nic nie powiedział. I nasz czcigodny dziadunio też wiedział, a mimo to obszywał Tanatosem ich wątłe ramiona.

- Gdybym wtedy nie przeżył, nie byłoby ciebie.

- A więc jestem twoją rehabilitacją za tamto? Myślisz, że w ten sposób oddałeś światu to, co mu wcześniej zabrałeś?

- Tamto trzeba było porzucić bezpowrotnie. Inaczej się nie dało. Ty tego nie zrozumiesz.
- Ja nie chcę tego rozumieć. Po prostu nie życzę sobie, by zasad i powinności uczył mnie ktoś, kto stanowił ich zaprzeczenie. I nie interesują mnie okoliczności zewnętrzne. Moralność albo ktoś w sobie ma albo nie. Tertium non datur. Tak tak, dziaduniu, byłeś cichym mordercą. Ludobójcą.
- Milcz gówniarzu! Byłem robotnikiem przymusowym! Nie katem, a ofiarą systemu!

W pokoju zapadła grobowa cisza. Ciotka Lukrecja skryła się za bzem już nie tylko twarzą, ale całą swoją osobą. Pani Anastazja starała się jogicznie wyregulować oddech, dziadek Stanisław rozpiął koszulę do piersi, niemieckie owczarki odmaszerowały do kuchni. Wojna zawisła w powietrzu. I doszłoby do niej niechybnie, gdyby nie szlachetny zryw ciotki Zuzanny, która do tej pory siedziała przy stole zupełnie wyciszona. Niesiona altruizmem, własną piersią zdecydowała się obronić rodzinę przed nią samą.

- Nie poznaję was i nas. Staliśmy się karykaturą i wynaturzeniem wielopokoleniowej rodziny. Zbeszcześciliśmy zacną familijną tradycję, z której nasze nazwisko słynęło w całej okolicy. I choć na zewnątrz postrzegają nas jako idealny kolektyw, gryziemy się jak wilki. Zapomnieliśmy, że nasza wspólnota istnieje dla dobra jej członków. Zamiast humanizować, zdehumanizowaliśmy się. Przestaliśmy być dla siebie nauczycielami człowieczeństwa. Staliśmy się surowymi krytykami. Gdzie wasza, nasza, empatia? Gdzie szacunek?
- „Prawdziwa cnota krytyk się nie boi" - zripostował Witold, usadziwszy tym samym ciotkę z powrotem na obitym aksamitem tronie ciszy i dumania. - Nie możemy się kochać, gdy nie ma między nami szacunku.
- No właśnie, Wituś, zaczynasz rozumieć.
- Nie ma między nami szacunku, bo nikt z nas na niego nie zasługuje. Ta rodzina nie udźwignęła na swoich plecach drabiny wartości. Zdeptała ją za przyzwoleniem pozostałych jej członków. A teraz siedzicie spokojnie, popijając wino i herbatkę, wolni od wszelkich rozliczeń i konsekwencji swoich wyborów. A jednak coś was w środku uwiera…
- „Kto jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem" - wymamrotał dziadek Stanisław.
- Wystarczy, że obrzucamy się błotem i obelgami – skwitował bez namysłu Witold. - Najwyraźniej to nas oczyszcza.
- Cicho! Kwiatkowscy przechodzą pod oknami – oznajmiła szukająca ratunku w widoku nieba ciotka Anastazja. - Państwo Idealni nie powinni słyszeć nas takich.
- Jakich? - zapytał z przekąsem Witold.
- Pieniących się.
- Raczej – obnażających się. To, akurat nie jest sprzeczne z mieszczańskim obyczajem.

- Ale po co mają wiedzieć?

- Żeby przestali nam mówić „dzień dobry”. Nie znoszę ich.

- Potraktujmy dzisiejszy podwieczorek jak chrzest. Jest taki piękny, pogodny wieczór - zacznijmy od nowa.

- Co od nowa?

- Naszą rodzinę.

Pani Anastazja była teraz kwintesencją wiary, nadziei i miłości. Witold – przeciwnie – napełnił się zwątpieniem, nihilizmem i złością. Starcie tych dwóch tak obcych sobie postaw poskutkowało wybuchem salwy szyderczego śmiechu, który wydobył się z piersi młodego przodownika. Na jego dźwięk „Lukrecja z Głową w Bzach” zakrztusiła się dopijaną właśnie esencją herbaty. Witold śmiał się diabelsko, donośnie i przenikliwie. Wdzierał się uszami do przepełnionych lękiem dusz spadkobierców rodzinnej tradycji wspólnych lipcowych podwieczorków. W salonie znów pojawiły się nagle rozhasane owczarki. Wtórowały panu śmiechem trzepocących ogonów.

- A zatem chcielibyście zacząć od nowa? - cedził przez szeroko rozwarte usta Witold. - Zresetować, zapomnieć, przecedzić przeszłość przez durszlak waszego wyrobu? Myślicie, że grzechy i bezeceństwa da się w ten sposób wypłukać przez otwory jak brud w stajni Augiasza? Liczycie na to, że sprytem Herkulesa uda się wam wyprodukować porządek stanowiący nowy fundament? Cóż za beztroska brawura!

- Dlaczego mówisz o grzechach w liczbie mnogiej? - zaprotestował dziadek Stanisław. - Przecież rozliczałeś tylko mnie. Nie nasyciłeś się? Zostaw resztę rodziny w spokoju!

- Skoro temat sam się dziś wywołał do tablicy, miejmy odwagę go kontynuować. Całe miasto od dawna pokątnie mówi o tym, że ciotka Lukrecja nabyła ten dom drogą błyskawiczną i bezkredytową, co w tamtych czasach było iluzją na miarę naszej dzisiejszej zgody. Śpimy na kłakach ruskiego oficera wywiadu. To one duszą was czasem w gardle podczas niespokojnej drzemki.

- Odwal się! - zaprotestowała stanowczo oskarżona o międzynarodowy nierząd ciotka. - A niby gdzie miałam mieszkać, kiedy wszystko skonfiskowali? Wracając do żony, nie mógł zabrać tego domu ze sobą, więc dał go mnie.

- Nie była to bezinteresowna darowizna.

- A jednak opłaciła się nam obojgu.

- To cud, że ciotka jeszcze mówi po polsku. W każdym kącie czuć to Ruska! Jego swądu nie wybawi jaśminowy napar.

Ciotka Lukrecja pokornie spuściła głowę. Przespać się z Ruskiem to nie był wstyd, wstydem było to, że o owym niechlubnym fakcie dowiedziało się „całe miasto”.

- Tak tak, droga Anastazjo, patrzysz na mnie tym swoim niewinnym spojrzeniem anielicy, które pragnie mi powiedzieć: „Na mnie nic nie znajdziesz!”. Przykro mi, ale w istnienie aniołów przestałem wierzyć mniej więcej w tym samym czasie, co w niezachwianą dobroć naszego Boga.

- Oszczędź…

- Pamiętasz rok 1981?

- Najlepiej ze wszystkich. To wtedy urodziła się nasza Krysia.

- A pamiętasz, co zrobiłaś, żeby urodzić ją w specjalnej sali szpitala, dostępnej jedynie żonom ówczesnych szpiclów?

- Chciałam zapewnić jej bezpieczny poród. Była źle ułożona.

- I uznałaś, że „cel uświęca środki”. W te pędy pognałaś na najbliższy posterunek milicji i doniosłaś, że nasz sąsiad, uczynny i bogobojny pan Mirek, po mszy „jątrzy” wśród parafian. Podczas gdy on tylko uczył ich niewypaczonego patriotyzmu.

- Ale nie zamknęli go.

- Bo nie zdążyli! Padł na zawał zanim zapukali do drzwi.

- Najwyraźniej nie miał czystego sumienia.

- Nie tobie to było osądzać.

- Odpokutowałam już tamte czasy.

- Nie oddało mu to życia. Jesteś Mirkobójczynią.

Pani Anastazja udała, że nie dosłyszała ostatnich słów. Dokroiła ciasta i trzęsącą się dłonią próbowała ułożyć drożdżowe kawałki na talerzu, ale spadały z niego. Po chwili cała stała się kompulsywnym ruchem. W końcu usadowiła się w fotelu i jakimś nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymała oczy przed zalaniem się łzami.

- A co powiesz o sobie, wzorze cnót i stróżu prawości? - zapytał butnie dziadek Stanisław. - Zanim skierujesz działo na kolejnego członka rodziny, przyłóż jego wypolerowaną lufę do swojego oblicza.

- Niewiele, poza tym, że jestem produktem waszego wychowania, który nienawidzi zarówno siebie, jak i tych, którzy go na swoje podobieństwo stworzyli. Jestem potencjalnym złem.

- I nie ma nic, co mógłbyś sobie zarzucić, poza tym, że jesteś jednym z nas?

- To nie zarzut. To smutny determinizm, który każe mi wierzyć, że jestem przeklęty.

- Wyznaj swoją winę!

- A co, jeśli jeszcze nie zdążyłem się nią splamić?

- To jako jedyny nie będziesz potrzebował rozgrzeszenia - rozległo się nagle nad głowami podpojonych winem i aromatem bzu epigonów rodu.

Kryśka podniosła się z krzesła dość gwałtownie, podarowawszy upust swoim tłumionym dotąd emocjom. Spostrzegli, że wygląda niezdrowo, ale nikomu nie przyszło do głowy zapytać o przyczynę tak głębokiej melancholii. Kryśka była, ale jakby jej nie było. Właściwie jej niedyspozycja nie była czymś nowym, towarzyszyła dziewczynie jakby od urodzenia. Kryśki nie pytało się o zdanie w sprawach rodzinnych, o stosunek do świata czy polityki. Kryśka nie miała poglądów, a przynajmniej nigdy ich nie wygłosiła. Była przezroczysta. Istnienie Kryśki traktowano jako nadprogramową produkcję rodu Bogusławskich. Siedziała z nimi przy jednym stole, ale miejsce to wydawało się być pustym.

A jednak poczuli teraz jej zaznaczoną dziarskim odsunięciem krzesła nie-obecność. Zdmuchnęła grzywkę z wysokiego czoła, poprawiła krzywo zwisającą między piersiami zawieszkę i przeszyła ich budzącym grozę spojrzeniem. Ze zdziwieniem zauważyli, że zamiast złotego krzyżyka, który zwykła nosić od czasu przyjęcia pierwszej komunii, na łańcuszku dyndał jakiś dziwny symbol niewiadomoczego. Spod podwijanych właśnie rękawów spłynął na nich blask równie dziwacznych znaków wytatuowanych wzdłuż linii kości promieniowej. Wyprostowali się jak struny. Tamtą Kryśkę znali tyleż, co nic, ale ta zaczęła ich naprawdę przerażać. Było w niej coś demonicznego i fanatycznego zarazem. Modlili się w duchu o to, by znów wbiła się swoim wybujałym cielskiem w krzesło i stała się statycznym bezmyślnym ciałem. Niestety, ciało Kryśki postanowiło stać się słowem.

- Oto nastał kres wynaturzonego tworu zwanego rodziną Bogusławskich - zaczęła tonem stanowczym, ale opanowanym. - Jeśli kiedykolwiek sławiła ona czyjeś imię, to szatana. Hołdowaliście mu zakłamywaniem rzeczywistości, usprawiedliwianiem i relatywizowaniem wszystkich swoich występków. Nauczyliście się od niego szukania winy w systemie, nigdy w sobie. Obrzuciliście błotem historię, narody i pojedyncze osoby. Jakże to podłe, polskie i bogusławskie zarazem! Uszy więdły od słuchania odgłosów osobliwie przez was pojmowanej rodzinności. Dziwiłam się, że Bóg nie reagował, nie grzmiał. Przez cały czas bawicie się w dzielnych rycerzy i charyzmatycznych strategów, siedząc za stołem i popijając herbatkę. Różnicie się między sobą dla zasady, pokoleniowo, nie dla prawdy. Musicie mieć przecież powód, żeby się nienawidzić. Wasza odpowiedzialność za siebie i rodzinę sprowadza się do urządzania codziennych schadzek przy przesiąkniętych smrodem waszych prawdziwych myśli flakonach bzu. Siedzicie jak w zbiorowej więziennej celi, opluwając się wzajemnie jadem, który robi za lukier na drożdżówce. Lubicie to. Rozsmakowaliście się w werbalnej trutce. Przekazujecie sobie ten wirus nienawiści wraz z podawanym dalej imbrykiem. Jest to jedyny przejaw zgodności w tej rodzinie. W gruncie rzeczy nienawidzicie tak samo, choć każdy z osobna. Wyspecjalizowaliście się w nienawiści, tej

demonstrowanej i ukrytej w sercach. Ale nawet ona ma swoje granice. Są tak wąskie, jak granice Polski, rzekomej narodowej wielkości czy waszej rodowej wyjątkowości. Dziś nadszedł koniec rządów Rycerzy Tego Kanciastego Stołu. Dacie początek nowej Europie.

- A to co, Sąd Ostateczny? - zapytał wzburzony Witold, któremu niespodziewany zryw Dotąd-Milczącej zaburzył płynność własnego wystąpienia.

- Nie do końca, – odsyczała z jadowitością żmii Kryśka - bo zadaniem Gniewnego Sędziego jest oddzielenie ludzi dobrych od złych, a w naszej rodzinie każdy jest z natury zły. Jesteśmy więc już po ostatecznym kataklizmie. Teraz musimy jeszcze oddzielić zło od zła, żeby rozpadło się na czynniki pierwsze. Niewidzialne i zbyt słabe, zrodzi dobro.

- O czym ty mówisz, dziewczę? - zapytał skonfudowany dziadek Stanisław.

- Dziadek udaje, że mu słuch szwankuje. Niech zatem skupi się bardziej. Wy wszyscy tutaj… jesteście złem. Udowodniliście to co najmniej raz w swoim życiu, a teraz próbujecie własne gówno ubrać w migoczące sreberko przedawnienia. Jesteście gotowi nawet je zjeść, połknąć, żeby przestało istnieć. Ale gówno tak łatwo nie ulega rozkładowi, ono śmierdzi z każdym dniem bardziej! Myślicie, że was uwielbiają, podziwiają i szanują, a nawet – nie daj, Boże! - naśladują? Oni wiedzą! Wszystko o wszystkich! I śmieją się z waszej samozwańczej świętości. Herbem tego rodu jest szatan z trójzębem! Jesteście iluzją, a od niej wybawić może jedynie prawda.

- A cóż nią, w twoim pojęciu, jest? - zapytał Witold.

- Śmierć – odpowiedziała z zimną krwią. - Wraz ze śmiercią, która kończy byt, a zatem możność tworzenia waszych urojonych idei, wyzbędziecie się iluzji. To jedyna szansa dla tej rodziny. I Europy.

- Co ty sugerujesz? - wzdrygnęła się pani Anastazja. - Chcesz nas zabić?

- Chcę was ocalić. Spowiedź i rachunek sumienia macie już za sobą. Wygląda na to, że będziecie umierać czyści i znów niewinni. To dobrze, bo śmierć powinna być czymś innym niż życie.

- Umierać? Czy ty aby nie majaczysz w gorączce?

- Po raz pierwszy w życiu czuję, że powietrze, którym oddycham, jest zdrowe. Potraktujcie ten podwieczorek jako ostatnie pożegnanie. Zbliża się godzina uwolnienia świata od rodziny Bogusławskich. Znalazłam dla was misję! Wasze odejście da początek odrodzeniu Europy w duchu nowych wartości. Przejdziecie do historii jako pierwsza ofiara złożona na ołtarzu systemowej transformacji. A nowa Europa znów będzie najlepszym miejscem do życia. Zamiast pędzącej nie wiadomo dokąd stechnicyzowanej gospodarki jej centrum stanowić będzie spokojny humanizm. Koniec walki między robotem a lotosem! Podwieczorki przy jaśminowej herbacie nigdy już nie będą polityczną agorą. Ludzie w końcu usłyszą śpiew ptaków. Przestaną domagać się coraz większej swobody wypowiedzi, ale zaczną odczuwać odpowiedzialność za tę, którą już mają.

Obywatelskość zostanie na zawsze połączona z moralnością. Na szczycie piramidy wartości każdego nowego Europejczyka znajdą się wartości ogólnoludzkie. I nie będzie podziału na „mieć" i „być" - wszyscy zgodnie pokochają pokój, tolerancję, sprawiedliwość społeczną oraz życie rodzinne. Nimi wypełnią materialne i duchowe przestrzenie. Bo bycie współczesnym obywatelem Europy nie jest związane z religią, jak próbowaliście wpoić sobie i mnie, ale z przywiązaniem do poszanowania prawa i społecznej umowy. Na pohybel krzykaczom, podjudzaczom i buntownikom! To egoiści, których jedynym celem jest zwrócenie na siebie uwagi!

Kryśka ścisnęła dłonią wiszącą zawieszkę. Dopiero teraz dostrzegli, że w centrum tej wielowarstwowej mozaiki widnieje półksiężyc. Zrozumieli.

- Za dwadzieścia minut pozostanie po was jedynie pamięć, a i ona ulotni się szybciej niż myślicie. Wrócicie tam, skąd przyszliście: do jądra nicości. Siedzicie na bombie, którą sobie sami skonstruowaliście. Pochłonięci awanturniczymi wywodami, zagłuszyliście jej tykanie.

- O Boże, ona wysadzi nas w powietrze! - krzyknęła ciotka Lukrecja.

- Dziecko, ty na poważnie? - lamentowała pani Anastazja.

- Smarkula żarty sobie stroi i próbuje nas sterroryzować! Opamiętajcie się! - wrzasnął Witold.

- Wy nigdy się nie opamiętacie. Na tym polega problem. Wy potraficie tylko rozpamiętywać. I rozliczać. A gdy siła wyższa postanowiła rozliczyć was, drżycie ze strachu.

- Ty jesteś opętana! Ty nie myślisz racjonalnie! - przekonywała samą siebie Lukrecja. - Ciebie kupili islamiści.

- Nie kupili, dostali mnie za darmo i z własnej nieprzymuszonej woli.

- Przecież wychowywaliśmy cię podręcznikowo, wedle najlepszych tradycji…

- Istotnie, wedle wzorcowej tradycji chrześcijańskiego: „Wszystko marność i twoje życie to marność i ty jesteś marność" oraz zgodnie z polskim obyczajem urywania głowy tym, którzy myślą inaczej. Wpoiliście mi narodowe stereotypy, obywatelskie lęki i zbiorowe nihilizmy. Nigdy nie rozmawialiście przy herbacie o pięknym wschodzie słońca czy kwitnącej gruszy. Uczyliście mnie gromadzić, a nie kontemplować. Zresztą, w ogóle na mnie nie patrzyliście, bo ważniejszy był widok snujących się po podwórzu sąsiadów. A potem szeptaliście do siebie, że to ze mną nie jest w zupełnym porządku. Ja po prostu nie przeszkadzałam wam być sobą. Witek próbował was zmienić, ale im mocniej się starał, tym bardziej powielał to, co go drażniło. Nawet nie wiecie, kiedy dorosłam i zmieniłam wiarę.

- Na Boga, ale dlaczego islam - ta gradowa chmura wisząca nad Europą?

- Bo pod jej skrzydłami można ogrzać się ciepłem, troską drugiego człowieka i autentycznym dobrem. Bo jest jedyną religią, która trzyma się swoich tradycji, bastionem, który umiejętnie łączy to, co transcendentne i codzienne. Wy z pogardą spoglądacie na swoje korzenie, wstydzicie się sacrum. Uważacie się za mądrzejszych od przeszłości, choć nadal was ona tworzy. Pytacie,

dlaczego islam? Bo w zetknięciu z nim przypadkiem zdemaskowałam wasze fałszywe chrześcijaństwo oparte na jednoczesnym służeniu zarówno Bogu, jak i mamonie. Dlaczego islam? Bo to on podarował mi prawdziwą rodzinę. Taką, w której wartości są stałe i niezachwiane, a hipokrytów oddala się od wspólnoty. Rodzinę, w której życie codzienne, religia, prawo i polityka stanowią jedność opartą na tym samym fundamencie. Jeśli moja nowa wiara wymaga ode mnie bezwzględnego posłuszeństwa, to przynajmniej daje mi coś w zamian - jednoznaczną wizję świata. Na co mi systemowa czy jednostkowa wolność, skoro w waszym świecie jestem bezustannie skazana na wybieranie między pozorami? Ja już nawet nie wiem, kto w tej rodzinie przypomina jeszcze człowieka z krwi i kości. Zanimalizowaliście się, przeistoczywszy się w stado. Zawodowi politycy wszystkich opcji bawią się erystycznymi sztuczkami, by przejąć władzę nad owcami takimi jak wy. Łykacie ich wyświechtane frazesy niczym jakieś prawdy objawione, a prawdziwa prawda i tak jest gdzieś indziej. Z lubością babrzecie się w tym, co was dzieli. Kłócicie się przy stole, tym oraz wigilijnym, na spacerze, przy porannym przeglądzie prasy, w taksówce i w galerii handlowej. W tej rodzinie wszystko jest polityką. Czyli kłamstwem. Próbujecie podzielić rzeczywistość na czarną i białą, a gdy odkrywacie, że waszym czynom bliżej do szarości, panicznie się wybielacie, jednocześnie zatapiając innych w kotle spływającym smołą. I ten wasz nieuzasadniony ekskluzywizm szlachecki… Myślicie, że stanowicie „naród wybrany”? A ja powiem wam, że niczym nie różnicie się od Kowalskich, Nowaków i innych przedstawicieli śmiertelnego społeczeństwa. Może tylko tym, że trudno wam pojąć, iż nic od was nie zależy. Na cóż mi pseudochrześcijańska rodzina, której członkowie skaczą sobie do gardeł tylko dlatego, że korzystają z prawa do wolności myślenia? Nie umiecie się nawet cywilizowanie różnić! Nie podoba wam się islam? Popatrzcie na siebie! Rozsiewacie anarchię, przekazując sobie każdej niedzieli znak pokoju. Terroryzujecie się nawzajem, wystrzeliwując obelgi jak z karabinu. Jesteście ideologicznymi ekstremistami i fanatykami, choć już nawet nie wiecie, o jakie prawdy walczycie! Konkurujecie ze sobą, zamiast się uzupełniać. Nie ma między wami szczerości, dobra, partnerstwa i kooperacji.

- I ty postanowiłaś nas ich nauczyć? - znów zagrzmiał Witold, który od małego wychowywany był w lęku przed nalotem Arabów.

- W przeciwieństwie do ciebie, nikogo nie zamierzam pouczać ani siłą nawracać – odpowiedziała mu z opanowaniem modlącego się Mahometa. - Postanowiłam uzasadnić waszą śmierć. Nie chcę, żebyście mieli poczucie krzywdy i niezgody.

- Ona znowu o tym… - piskliwym głosem zwróciła się do dziadka pani Anastazja.

- Wy nadal nie wierzycie, że koniec nadchodzi? Zostało dziesięć minut.

- Egzorcyzmy, dziecko, tego teraz potrzebujesz.

- Doznaję właśnie cudownego oczyszczenia.

- Pewnie poznałaś jakiegoś Araba i się po prostu w nim zakochałaś. Powiedz, pomożemy ci przez to przejść. Nie ty pierwsza uległaś czarowi ich skłonnemu do miłosnych uniesień usposobieniu.
- Owszem, po raz pierwszy ktoś obdarzył mnie prawdziwą miłością, uniwersalną i silniejszą niż życie. Dlatego pozwolił mi umrzeć wraz z wami.
- Księdza! - wrzasnął dziadek Stanisław.
- Da dziadek spokój – uspokajał go Witold. - Czy nie widzicie, że dziewczyna prowokuje? Przez całe swoje życie siedziała przy tym stole milcząca i nieobecna duchem. W końcu postanowiła zwrócić na siebie uwagę. Metodę wybrała tandetną, ale osiągnęła cel.
- Poprzez milczenie odkrywałam was. I siebie. Nieme uczestnictwo w życiu rodzinnym bywa najważniejszym głosem w dyskusji. To ja dziś stawiam w niej kropkę nad i. Osiem minut.
- Więc porozmawiajmy, na spokojnie. Usiądź, dorobię herbaty – pani Anastazja za wszelką cenę próbowała ugłaskać rozwścieczoną Kryśkę z półksiężycem pod szyją.
- Ja już wszystko powiedziałam.
- Ale my się pogubiliśmy.
- Zatem powtórzę raz jeszcze, choć szkoda marnować na to czas, gdyż nie zdążymy się pożegnać. Oto nastał ostatni nasz wspólny podwieczorek. Po nim nastąpi dematerializacja rodziny Bogusławskich; rodziny, która nie jest rodziną i dlatego nie może dalej istnieć, bo przeszkadza Europie rozwijać się. Bogusławskich jest więcej, ale my musimy zniknąć pierwsi, bo jesteśmy złymi Polakami. Nasza śmierć będzie wybawieniem: Europy od zła, nas od samych siebie. Innowiercy przychodzą nam na ratunek, nie z inwazją. Zaraz nastąpi wielki wybuch. Zginę i ja, ponieważ jestem jedną z Bogusławskich. Trzy minuty. Czy jest coś, co każdy z was chciałby powiedzieć innym w ostatniej minucie swojego życia?

Pachnący lipcowym powietrzem, bzem i jaśminową esencją salon spowiła najgłębsza cisza. Z niej wyłoniło się tykanie zegara, które wcześniej skutecznie zagłuszyli rytuałem podwieczorka. Śnieżnobiała firanka frywolnie obwiewała drewniane ramy okna. Z sąsiedniego domku zaczęły dobiegać dźwięki skocznej piosenki, nieznacznie tylko zagłuszanej szczekaniem bawiących się w chowanego psów. Do wnętrza monumentalnego domostwa wdarła się nabzdyczona osa. Namaściła skrzydłami każdą z zastygłych głów. Kryśka siedziała spokojna, uśmiechnięta i spełniona. Zrozumieli, że nie żartuje.

- Krwią moją tylko podlejesz wybitną dziejową rolę Polski w świecie – odezwał się dziadek Stanisław. - Jeszcze Polska nie umarła! Nawet jeśli my pomrzemy! Amen.
- Panie Boże, zmiłuj się nad nami! - wykrzyknęła w stronę niebios pani Anastazja.
- To ja jestem tą poszukiwaną przez ochroniarzy hieną cmentarną! - rozpłakała się ciotka Lukrecja.
- Nie lubiłam, gdy groby innych wyglądały ładniej niż grób mojej matki. Wstydzę się tego, co czyniłam. Niech twój anioł, o Panie, przeniesie na mój grób chabry od Kuńskiej.

- Nie każ mi iść z nimi na drugą stronę! - błagał Witold. - Holly shit!

- Minuta.

- Kto zaopiekuje się psami? – wyrwało się pani Anastazji. - Pobiegły na drugą stronę ulicy. Taki rodowód, a trafią pewnie w jakieś robotnicze ręce!

- Cholera, ten luj Dawidek pożyczył ode mnie stówę – przypomniało się Witoldowi.

- Co z ciebie za Bóg, skoro dajesz się pokonać bogowi tamtych? - grzmiał pod niebiosa dziadek. - Gdzie jest sprawiedliwość?

- Tam, gdzie prawo, dziaduniu, w czarnej dupie!

- Prześladujesz mnie do końca…

- Do ostatniej sekundy!

- Dziesięć sekund.

- A ty co powiesz, Kryśka? Umiemy liczyć.

- Nie wracajcie na ziemię pod żadną postacią. Nie psujcie ofiary.

- Dlaczego musimy umrzeć?

- Bo nie potrafimy już żyć.

Po chwili salon Bogusławskich wypełnił się wielkim wybuchem, w którego przyjście do końca nie wierzyli. Eksplodowali wszyscy, równocześnie i bezpowrotnie. Dopiero w chwili śmierci dosięgnął ich ziemski egalitaryzm, choć byli przecież równoprawnymi członkami tego samego rodu. Tak samo sprawnie rozpadli się na niewidzialne kawałki swaru, jazgotu i buty. I gdyby nie to, że czekała na nich tylko nicość, z pewnością przekuliby moment destrukcji na zaczyn nowego konfliktu. Mierziła ich wszelka wspólnotowość, a zwłaszcza ta, którą próbował narzucić im odgórnie los. Byli wściekli na Kryśkę, ale nie miało to już żadnego znaczenia. Gdy znów nastała cisza, zamknięta dotąd w ozdobnych ścianach secesyjnego domu przestrzeń otworzyła się na nowe. Ziemia oddychała spopielałym bzem i przeszywającym nozdrza jaśminem. Ona jedna przetrwała, powróciwszy do swoich korzeni – polskości, europejskości i rodowego miru. Dzięki Kryśce znów była wolna.

Bycie muzułmaninem i bycie Europejczykiem nie stoi ze sobą w sprzeczności, a wartości europejskie to wartości muzułmańskie.